

## II. KLUCZ DO ZAGADKI

Pierwsze było zdziwienie, potem zaskoczenie, ale po chwili obojętność. Pewno to jakiś głupi żart kogoś z redakcji – pomyślał Mariusz. A może Iza? Może to Iza mi przysłała – przebiegło mu przez myśl. Ale wiedział, że Iza nie znosi hoteli. Za każdym razem, kiedy mieszkali gdzieś na wyjeździe w hotelu Iza miała obsesję pod tytułem: ileż to osób w tym łóżku spało, ile osób brało prysznic wcześniej przede mną, nie chodzi po dywanie na boso nie wiadomo ile tu zarazków i kto tu z buciorami wchodził. Nie, Iza nie znosiła hoteli. Więc to nie prezent w jej stylu. Ale przecież mógł sobie tak wyobrazić, choć chwilę dać ponieść się tej szalonej myśli, skoro nie miał innych tropów. Postanowił stanowczo i systemowo zignorować leżący klucz, bo jeśli był to ktoś z redakcji, to teraz go obserwował, więc nie można było się unosić, żeby nie sprawiać komuś frajdy za darmo. Ale Mariusz podświadomie wiedział, że takie zachowanie nie leżało w naturze jego współpracowników. Każdy był wychulony na tajemnicze koperty, bo też chyba każdy, kogo zdjęcie wisiało już w kuchni, taką kopertę kiedyś dostał, więc z tego żartów się raczej nie robi. A może? Sam nie wiedział co myśleć. Nie miał głowy do sprawy remontu lodowiska, więc na szybko artykuł skończył, tak żeby był już. Korekty zrobię w poniedziałek – pomyślał.

Popołudniem miał jeszcze jedno spotkanie w sprawie najnowszej sprawy, która okazać się miała prawdziwą bombą. Ale do spotkania było jeszcze trochę czasu. Prawie godzina. Najpierw więc sprawdził czy nikt nie widzi, czy nikt nie patrzy z innych boksów. Teren był czysty. Więc niespiesznie włączył przeglądarkę internetu i wpisał w wyszukiwarce Hotel Brylant. Od razu wyskoczył odpowiedni link [www.hotel-brylant.pl](http://www.hotel-brylant.pl), w który natychmiast kliknął. Hotel Brylant mieścił się w odrestaurowanym budynku, jednym ze starszych w mieście, bo wybudowanym w 1890 roku. Początkowo był tam urząd pocztowy, w czasie drugiej wojny budynek zajęli Niemcy i w piwnicach, gdzie teraz mieści się hotelowy pub, przetrzymywali jeńców wojennych. Wojna obesła się dość łaska-

wie z zabytkiem, więc po niewielkim remoncie urządzono tam szkołę, która została zlikwidowana w roku 1968. Od tego czasu budynek sukcesywnie niszczał, zaś jego administratorem było państwo, które przy Kryształowej 11 urządziło hotel robotniczy. Po przełomie w roku 1989 obiekt co rusz zmieniał właścicieli i swoje przeznaczenie: była tam hurtowania zabawek, biura firmy turystycznej, a w pewnym okresie jedno z pomieszczeń wynajmowało nawet stowarzyszenie AA. Oczywiście tych wszystkich informacji Mariusz nie wyczytał na stronie hotelu, bo po co zanudzać gości nudnymi i nie raz dramatycznymi losami obiektu, to nie profesjonalne i nie marketingowe działanie. Witryna internetowa hotelu utrzymana była w tonacji brązu i złota. Eleganckie logo mieniło się prezentując gamę możliwości programu, w którym strona została wykonana. W hotelu było czterdzieści pięć pokoi, restauracja mogąca pomieścić nawet sto pięćdziesiąt osób, pub w piwnicach – tam gdzie przetrzymywano tych jeńców – pomyślał Mariusz, mały basen i jacuzzi. – Zaraz, zaraz. Że też na to od razu nie wpadłem – wyszeptał na granicy słyszalności Mariusz. – To oczywiste, przecież to zemsta radnych za mój artykuł o ich wypadzie do Krynicy.

Ale zaraz porzucił tę myśl. To myśl z kategorii tych, które wydają się być oświeceniem i przez moment są dla nas genialne, jednak po minucie wstydzimy się, że coś takiego przyszło nam do głowy. Przecież to bezsensu. Zbyt proste. Tak durnego pomysłu nie spodziewał się nawet po radnych swojego miasta. Owszem, nie mógł być pewien, że tak nie jest, ale jakoś nie przywiązywał do tej hipotezy dużej wagi.

Ciągle nie wiedział i nie mógł być pewien o co chodzi. Udawał, że nic go to nie obchodzi, jednak ciekawość – wrodzona przypadłość ludzka – była silniejsza. Rozpierająca. Przemożna. Musiał wiedzieć co kryje się za tym kluczem. Za drzwiami pokoju numer 107 hotelu Brylant, jeśli oczywiście to prawdziwy klucz do prawdziwego pokoju. Spojrzał na zegarek, było już późno. Nawet bardzo późno. Wyłączył komputer jednym przyciskiem na stacji centralnej, co było znakiem, że się spieszył, gdyż zawsze wyłączał komputer bezpiecznie, zgodnie z zaleceniami producenta. Szybko wybiegł z redakcji do windy i zjechał na dół. Uświadomił sobie dopiero wtedy, że zapomniał zjeść dziś obiad. Ale nie był głodny. Nie był też najedzony. Czuł idealny stan lekkości. Dziwny to był dzień. Do tego jeszcze ten klucz. Dziwny to był dzień, a jeszcze się nie skończył.

Spotkanie późnym popołudniem okazało się nad wyraz owocne. Ma-

riusz wracał z niego uradowany, bo jego informator potwierdził wszystkie sensacyjne doniesienia, które dziennikarz zdobył w sobie tylko znany sposób.

To będzie prawdziwa bomba, to będzie prawdziwa bomba – powtarzał w myślach wracając do domu. Bo to faktycznie miała być bomba. Do domu wrócił przed dwudziestą pierwszą zahaczając o bar z szybkim jedzeniem. Nie miał nic przeciwko takim barom, choć nie zaglądał tam zbyt często. Wstąpił tam, bo głód jednak zaczął doskwierać, a był to taki głód, który nie pozwala spać, a chciał się położyć i zasnąć po tym dziwnym dniu. I udało mu się to. Sensacyjne doniesienie informatora na moment przyćmiły zagadkę z kartą magnetyczną w roli głównej, więc zasnął snem spokojnym. Generalnie sypiał bardzo dobrze, tłumaczył to sobie tym, że ludzie, którzy mają czyste sumienie zawsze śpią bardzo dobrze. Czasami tylko budził się w nocy i szukał Izy, będąc przekonanym, że poszła napić się mleka do lodówki. Iza budziła się często i piła mleko. Potrafiła nawet litr mleka w jedną noc wypić. Mariusz wiedział o tym i mleka w jego lodówce nie brakowało. Może więc dlatego sam pijał mleko z kawą, zamiast kawę z mlekiem; smak mleka przypominał mu Izę, jak jeszcze była. Po chwili jednak, po przebudzeniu uzmysławiał sobie, że Izy nie ma i że ilość mleka wieczorem i nad ranem będzie taka sama.

Sobota była dla niego dniem wolnym. Ale i w sobotę nie brakowało rytuałów. Gazety z piątku nie czytał. Nie, to by zburzyło rytuał. Gazetę z piątku czytał w poniedziałki. Gdyby gazetę z piątku czytał w soboty, wtedy do poniedziałku cenne wnioski mogłyby zostać zapomniane. A tak na świeżo każdego dnia roboczego oceniał krytycznie swoje teksty próbując unikać błędów w nich popełnionych już przy pisaniu nowych tekstów. Taką miał zasadę. W sobotę rano, dla niektórych nawet bardzo rano, czyli około godziny siódmej trzydzieści udawał się na zakupy. Wiadomo – w sobotę wszyscy udają się na zakupy. Dlatego więc, że wszyscy, on robił to rano, chcąc uniknąć poczucia bycia jednym z milionów; ale miało to też aspekt praktyczny. W sobotę o siódmej trzydzieści sklepy najzwyczajniej w świecie były prawie puste. Nie licząc osób starszych, dla których ta pora to środek dnia, gdyż na nogach byli już od czwartej. Ale do tych z racji sąsiedztwa był przyzwyczajony. Czuł się wśród nich dobrze. Nie wiedział dlaczego, ale wśród ludzi starszych czuł się bezpiecznie, choć sam nigdy nie potrafił sobie wyobrazić siebie na emeryturze. Zanudzę się na śmierć – myślał, kiedy

naszła go wizja własnej emerytury. Zakupy robił na cały tydzień. Soki, mleko, wędlina, sery, jogurty, płyn do naczyń, piwo, dżem, papier toaletowy, jakieś słodczyce, nawet pieczywo. Mały chleb kroił na ćwiartki i mroził w zamrażarce. Codziennie przed snem wyciągał ćwiartkę i miał na rano świeże pieczywo. Było to działanie nie tyle oszczędne ile praktyczne. Tak – Mariusz Starynek był człowiekiem praktycznym, żyjącym wedle jakichś niepisanych zasad, które sam sobie ustalał. Iza nie była taka. Iza była spontaniczna, nie przejmowała się problemami, żyła dniem, potrafiła wydać pół pensji na wymarzony ciuch. Ale nie przeszkadzało jej to w Mariuszu, że był inny. Inny od niej. Chwaliła go sobie. Miała w nim głos rozsądku. Nie wszystkim kobietom Mariusz pasowałby jako partner. Jej pasował. On zaś czasami, ledwie na chwilę, przy Izie zapominał się i był spontaniczny, ale tylko na chwile. Te chwile jednak były piękne. Do koszyka wrzucił jeszcze ketchup, który dodawał do każdej porannej potrawy, nawet jajecznicy potrafił zjeść z ketchupem. Niby normalne zakupy sobotnie, jednak tej soboty Mariusz działał automatycznie, ściągał z półki produkty jak w letargu. W jego głowie wręcz dudniła liczba 107. 107. 107. 107. 107.

Co do diabła kryje się w pokoju 107?– tylko to go nurtowało.

Dopiero w domu odkrył, że kupił dwa bochenki chleba z sezamem, którego nie znosi. To go rozdrażniło, bo przez następny tydzień będzie musiał jeść pieczywo, którego nie cierpi. Świętej pamięci ojciec nauczył go, że chleba nie wolno wyrzucać. Za błędy trzeba płacić – nawet za tak błahe i bzdurne – Mariusz już taki był.

Zakupy rozpakował całkiem nieświadomie. Postanowił zająć się czymś, zmęczyć, nie myśleć. Rower wcześniej stał w piwnicy, ale po wyprowadzce Izy zyskał swój pokój. Mariusz szybko przebrał się, chwycił rower i wyszedł z domu. Kwiecień był ładny tego roku. Wiosna na dobre już dała się we znaki. Poranne słońce nawet sympatycznie grzało, więc temperatura powietrza dochodziła do +14 stopni Celsjusza. Nie trudno domyślić się, że Mariusz posiadał ulubione i ściśle wytyczone trasy rowerowe. Dziś jednak jeździł bez celu, bez sensu. Co też sam stwierdził i po niespełna czterdziestu minutach wrócił do domu. Wziął prysznic i postanowił – Idę tam. Nie wytrzymam!

Tak jak powiedział, tak też zrobił. Do hotelu z redakcji było prawie dwa kilometry, ale z jego domu już trochę dalej, prawie pięć. Postanowiłjechać samochodem. Hotel był obleżony przez samochody, więc musiał zaparkować na hotelowym parkingu. Trzy złote za godzinę to trochę

drogo, zwłaszcza, że sam nie wiedział ile czasu tam spędzi, tak samo jak nie wiedział po co tam jedzie. Ale musiał tam jechać. I już. Z parkingu przejście było bezpośrednio do hotelu dużymi przeszklonymi drzwiami. Zasadniczo drzwi prowadziły do restauracji, która otwierała się na część hotelową. Była godzina trzynasta czternaście. Dobrze, że nie minuta wcześniej – pomyślał Mariusz, który uważał do tej pory, że nie wierzy w przesady. Hotel urządzony był ładnie, nawet bardzo ładnie, a co ważne gustownie. Białe ogromne kafle na podłodze, ściany w kolorze przypominającym kolorystykę strony, lub na odwrót, ogromna palma w hallu, cztery duże obite błyszczącym materiałem fotele, drewniany stół z przeszklonym blatem, recepcja nieduża widoczna, a pod sufitem sieć kamer. Przy recepcji stał tłum jakichś zagranicznych gości, którzy widać wymeldowywali się. Wprawdzie doba trwała do dwunastej, jak wyczytał na tabliczce umieszczonej na ścianie przy blacie, ale ci całe szczęście wymeldowywali się teraz robiąc odpowiednie zamieszanie, dzięki czemu udało mu się przejść pozostając niezauważonym. Szybko zlokalizował windę i czym prędzej wszedł do niej wciskając przycisk 1, wszak według logiki, która rzadko go zawodziła, pokój 107 powinien znajdować się na piętrze pierwszym. Co jest? Winda nie rusza. Stoi w miejscu. Dopiero po chwili zorientował się, że winda wyposażona jest w specjalny czytnik i bez włożenia karty nie ruszy. A więc teraz przekonam się czy mój klucz jest prawdziwy – dotarło do Mariusza. Wszak gdyby klucz byłby nieaktywny, zapaliłaby się czerwona lampka. Włożył więc klucz czując kołatanie serca, wszak wszystko miało się teraz wyjaśnić, właśnie w tym momencie. Żeby zobaczyć efekt należało kartę wyjąć. Wyjął i... Nic się nie zapaliło. Trzeba zrobić to zdecydowanym ruchem. Kolejna próba więc. Szybkie włożenie i z powrotem.

– O żesz ty... – wyszeptał w złości widząc zielone światło.

Wycieczka windą nie była długa. Ledwie 5 sekund minęło a drzwi na powrót były otwarte. Mariusz był na pierwszym piętrze. Przed pokojami stały wózki pokojówek, a na nich pełno świeżej pościeli, ręczników, wody mineralne, jakieś gazetki, worki na bieliznę, czyściki do butów i inne rzeczy, których nie rozpoznał. Znalazł się na początku długiego i zaskakująco szerokiego korytarza. Po lewej stronie był pokoje parzyste, kolejno: 102, 104, 106, po prawej nieparzyste, 101, 103, 105. Tak, był pokój 107.

– Przepraszam w czym mogę panu pomóc? – delikatny, kobiecy głos

wyrwał Mariusza z uczucia ekscytacji pomieszanego z przerażeniem po odkryciu drzwi z numerem 107.

Obrócił się gwałtownie. Jego oczom ukazała się niewysoka kobieta o rudych włosach i delikatnej, bladej urodzie. Pokojówka. Stała w progu pokoju 104, który sprzątała.

– Ja, nic. Tylko się rozglądam, choć w zasadzie... Proszę mi powiedzieć, kto mieszka w 107?

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę udzielać takich informacji – stanowczo, acz grzecznie odpowiedziała pokojówka.

Jestem spalony – pomyślał Mariusz – nic tu po mnie. I dodał:

– To w sumie nic ważnego. Dziękuję i do widzenia.

Pokojówka równie kulturalnie pożegnała się i nie weszła do pokoju, póki tajemniczy gość nie udał się do windy.

Dość tej maskarady – pomyślał Mariusz. Przy recepcji było już pusto, hałaśliwa grupa obcokrajowców pojechała. Od niechcienia rzucił klucz na blat recepcji i udał się do wyjścia.

– Przygotowałem rachunek dla pana, może pan już odebrać – powiedział recepcjonista do wychodzącego.

– Rachunek? – Mariusz nie potrafił, choć próbował jak tylko mógł ukryć zdziwienie. Odwrócił się i podszedł do recepcji. Na blacie leżał rachunek wypisany na jego imię i nazwisko, oraz pełny adres zameldowania. Pospiesznie wyjął dokumenty z kieszeni spodni, by sprawdzić czy ma dowód. Może ktoś go okradł i teraz bawi się jego kosztem, wszak, aby zameldować się potrzebny jest dokument. Dowód jednak znajdował się na swoim miejscu obok prawa jazdy i karty chipowej do biblioteki głównej.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? – zapytał uprzejmie recepcjonista. – Czy wszystkie dane się zgadzają, jeśli jest jakiś błąd bez problemu mogę poprawić.

– Wszystko gra – zapewnił Mariusz.

Ale nic nie grało. Nic, do jasnej cholery, nie grało. O co chodzi. O co tu do diabła chodzi?

Chwycił kartkę formatu A4 z logiem hotelu Brylant tak mocno, że prawie ją pogniótł. Wyszedł z hotelu wsiadł do samochodu i odjechał do domu nie spoglądając nawet na kartkę. Dopiero w domu, kiedy już się uspokoił, spojrzął na rachunek. Pobyt był opłacony od czwartku do niedzieli. Czas zameldowania czwartek siedemnasta dwadzieścia trzy. Cena za pokój ze śniadaniem za noc 239zł. Rachunek był na kwotę 717

zł. Nie wiedział, za nic w świecie nie wiedział, co jest grane. Kto się z nim bawi w tą grę. Kto chce coś na tej grze ugrać. Komu przyszedł do głowy taki pomysł. Dane mógł mieć każdy, nie jest tajemnicą gdzie mieszka. To nie problem. Ale po co? Na co? Czemu? Czemu? Po co? Te pytania zaprzętały mu głowę.

No i co robić? – przede wszystkim. Pytanie, co robić, było w tej sytuacji kluczowe. Kamery – pomyślał – przecież tam pełno jest kamer. Pójdę i poproszę, by sprawdzili nagranie!

Tak zrobiłby każdy w porządnym filmie. Kolejna – pierwsza myśl – okazała się nietrafiona. Przecież skoro ktoś zadał sobie tyle trudu, to pewno i o tym pomyślał, zadbał, aby kamery nic nie zarejestrowały. Ale może, może się uda? Ale co? Pójdę tam i wyjdę na idiotę?! Bo co im powiem, że ktoś mnie zameldował w hotelu i zapłacił za mnie i że szukam mojego sponsora, kompletnie bez sensu – bił się z myślami.

Dochodził wieczór. Mariusz bardzo chciał zapomnieć o tym całym hotelu, ale nie dało się. Wszak sytuacja była, jeśli nie coraz groźniejsza, to na pewno coraz dziwniejsza. Nie miał nawet z kim porozmawiać, bo nie wiedział nawet jak o tym opowiedzieć. Z lodówki wyciągnął piwo. Zrobił pierwszy łyk. I po chwili puszka była pusta. W głowie lekko zaszumiało. Za chwilę pił już kolejne. Było równie pyszne jak poprzednie. Po chwili położył się na łóżku oglądając po raz kolejny już lekko podniszczony rachunek z hotelu, jakby chcąc znaleźć jakąś wskazówkę, jakiś najmniejszy trop, który doprowadzi go do rozwikłania zagadki pokoju 107. Po chwili wstał, wziął komórkę do ręki i wybrał numer.

– Halo, dobry wieczór. Poproszę taksówkę na Okopową 43. Kurs do hotelu Brylant. Na Kryształową 11...